

KAROLINA GRODZISKA
MARIA RADZISZEWSKA
Biblioteka Naukowa PAU i PAN w Krakowie

„GAWĘDY O UTRACONYM GNIEŹDZIE – BOŻY ROK”. WSPOMNIENIE ANNY JAŁBRZYKOWSKIEJ Z UJAZDU

Słowa kluczowe: Anna Jałbrzykowska, Ujazd, dwór szlachecki, życie codzienne, obyczaje

Warto podkreślić, że na cenny i obszerny zespół rękopiśmienny Biblioteki Naukowej PAU i PAN w Krakowie obok rodzinnych spuścizn, papierów osobistych uczonych i artystów – będących darami ich rodzin bądź zakupami antykwarycznymi – składają się też dary osób związanych z samą Biblioteką – jej pracowników, emerytów i ich rodzin. Dary te były przedmiotem opracowania Bożeny Sieraczyńskiej¹, w owym czasie ich liczba wynosiła ok. 570 jedn. inw., czyli ca 5% całego zespołu, obecnie proporcje te uległy już zmianie.

Wśród darczyńców związanych z Biblioteką przypomnieć należy panią Annę Jałbrzykowską (1908–1990) – zarówno w związku z jej ciekawymi darami, jak i mijającym właśnie 30-leciem śmierci.

Była wnuczką Zygmunta Jałbrzykowskiego (1838–1910), przemysłowca i filantropa, który w 1888 r. porzucił przemysł na rzecz rolnictwa i zamieszkał w zakupionym cztery lata wcześniej majątku Ujazd koło Zabierzowa². Żonaty z Salomeą Gorzewską miał syna Stanisława i córkę Helenę, zam. Ożegalską. W ramach swej działalności filantropijnej wspierał wychowanie syna swojego kuzyna, słynnego duchownego Romualda Jałbrzykowskiego (1876–1955), arcybiskupa wileńskiego³, jak też znanego malarza, Kacpra Żelechowskiego.

¹ B. Sieraczyńska, *Dary rękopiśmienne i spuścizny pracowników w Bibliotece Naukowej Polskiej Akademii Umiejętności i Polskiej Akademii Nauk w Krakowie*, „Rocznik Biblioteki Naukowej PAU i PAN w Krakowie”, R. 50: 2005, s. 353–376.

² [Red.], *Jałbrzykowski Zygmunt*, [w:] *Polski słownik biograficzny* (dalej: PSB), t. 10, Wrocław 1962–1964, s. 26.

³ T. Żychiewicz, *Jałbrzykowski Romuald*, [w:] PSB, t. 10, s. 25–26; A. Jałbrzykowski, *Rodzina Jałbrzykowskich herbu Grabie*, „Materiały do Biografii, Genealogii i Heraldyki Polskiej”, t. VI, Buenos Aires–Paryż 1974, tablica 9 na s. 44.

Życie Stanisława Jałbrzykowskiego (1878–1937) związane było w największym stopniu z Ujazdem. Ukończył Politechnikę Lwowską jako inżynier budowy dróg i mostów, jednak lubił gospodarowanie na roli. Był współzałożycielem Spółdzielni Rolno-Handlowej „Jedność” w Krakowie i prezesem jej rady nadzorczej. Poślubił Reginę Marię Ostrzeszewicówną, córkę właściciela dóbr Mistrzejowice koło Krakowa. Trójka ich dzieci to Janina (ur. 4 października 1905), Anna (ur. 15 maja 1908) i Andrzej (ur. 21 października 1921). Ten ostatni miał być dziedzicem Ujazdu.

Starsza z córek, Janina, ukończyła studia rolnicze i znakomicie gospodarowała w Ujeździe po śmierci ojca. Miała wtedy 32 lata, niespełna 16-letni Andrzej był zbyt młody, by objąć majątek. Ich siostra Anna miała zdolności humanistyczne, którym w późniejszych latach dała w pełni wyraz. W niej też należy widzieć inicjatorkę spisania niniejszych wspomnień, a także bezcenna była jej pomoc dla pracującego nad rodzinną genealogią w Argentynie brata Andrzeja.

Anna Jałbrzykowska uczęszczała do Gimnazjum Królowej Jadwigi, składając w czerwcu 1927 r. egzamin dojrzałości. Podjęła następnie studia uniwersyteckie, kończąc je w marcu 1934 r. z wynikiem bardzo dobrym. Pracę magisterską pt. „Kościoły na Wawelu obecnie nie istniejące” pisała pod kierunkiem prof. Jana Dąbrowskiego. Po śmierci matki (październik 1934) pracowała w Ujeździe, prowadząc dom ojcu przez ostatnie lata jego życia. Od 1 października 1938 do 1 sierpnia 1939 była na stażu w Bibliotece PAU pod kierunkiem Karola Piotrowicza, mając dużą szansę na zatrudnienie tam w przyszłości⁴. Okres okupacji spędziła w rodzinnym Ujeździe: w formularzu osobowym podała, że do 31 lipca 1945 r. pracowała tam jako gospodyni domowa, prowadząc dom, ogród i inwentarz. Przyjaciel i współmieszkaniec, Marian Gustowicz, wydał jej zaświadczenie, eufemistycznie stwierdzając, iż wzorowo wywiązywała się z obowiązków, „i jako pracownica, i jako członek społeczeństwa pod okupacją”, a odeszła „na skutek likwidacji gospodarstwa”⁵.

Od 1 lutego 1945 podjęła pracę w Bibliotece Jagiellońskiej, pracowała do 31 sierpnia. Próbowwała następnie zatrudnić się w Bibliotece Miejskiej w Gdańsku: wyjechała tam najpierw w ramach urlopu wypoczynkowego i pracowała do końca września 1945, jednak pokonały ją ówczesne realia zrujnowanego miasta i niemożność dostania tam jakiegoś *locum*, co szczerze opisuje. Wróciła do Krakowa, gdzie miała stałe rodzinne zaczepienie u ciotki na ul. Sobieskiego. Podjęła niezłe płatną pracę referenta, a później sekretarki w Krakowskim Zjednoczeniu Przemysłu Węglowego, jednak ciągnęło ją do bibliotekarstwa. Tracąc finansowo, od stycznia 1947 r. była znów w Bibliotece Jagiellońskiej jako kontraktowa

⁴ Biblioteka Jagiellońska, akta osobowe Anny Jałbrzykowskiej. Za możliwość wglądu do nich serdecznie dziękujemy Prof. Zdzisławowi Pietrzykowi i Pani Halinie Stachowskiej.

⁵ Całkowicie mylnie są podawane w literaturze informacje o wyjeździe pań Jałbrzykowskich do Anglii, zob. I. Palca, *Ujazd*, [w:] *Monografia gminy Zabierzów*, red. P. Hapanowicz, S. Piwoński, Kraków 2009, s. 119.

bibliotekarka, a następnie asystent. Jej kolejne stanowiska to: zastępca kierownika Oddziału Gromadzenia, kierownik Katalogu alfabetycznego, bibliotekarz naukowy (1954), starszy bibliotekarz (1956). W tym też roku została przeniesiona do Oddziału Rękopisów, z którym związana była do chwili przejścia na emeryturę z końcem 1970 r., jako kustosz, dyplomowany adiunkt biblioteczny i kustosz dyplomowany.

O jej uzdolnieniach i efektywności w pracy przy rękopisach świadczy fakt, iż w latach 1962–1972 była autorką czterech tomów *Inwentarza rękopisów Biblioteki Jagiellońskiej* (łącznie 2000 sygnatur) i współautorką (z Jerzym Zathayem lub Władysławem Bandurą) kolejnych trzech tomów (łącznie 1500 sygnatur)⁶.

Na emeryturę przeszła z końcem 1970 r., w następnych latach robiła wiele kwerend i poszukiwań na rzecz prac genealogicznych swego brata, Andrzeja. Zmarła 20 stycznia 1990 r., pochowana została na cmentarzu Rakowickim obok rodziców i siostry.

Mniej wiadomo o drodze zawodowej Janiny Jałbrzykowskiej. Absolwentka słynnej Szkoły Gospodarstwa Domowego w Snopkowie, inżynier rolnik, z zamiłowaniem pracowała w Ujeździe. W 1945 r., mając 40 lat, została tej pracy i domu brutalnie przez nowe władze pozbawiona. W przeciwieństwie do Anny, nie miała zamiłowania ani ochoty do pracy bibliotecznej ani biurowej. Pewne możliwości pojawiały się natomiast na tzw. Ziemiach Odzyskanych.

W 1945 r. podjęła pracę jako wolontariuszka w ówczesnym Zakładzie Hodowli Roślin i Doświadczalnictwa UJ u doc. Anatola Listowskiego. Wobec niemożności stałego zatrudnienia z uwagi na złe pochodzenie społeczne, pracowała następnie przez pewien czas w aptece kuzynki, Krystyny Lenartowiczowej. Dzięki pomocy dawnego znajomego, zootechnika Stefana Aleksandrowicza, otrzymała pracę jako inspektor obór zarodowych w kierowanym przezeń PGR-ze we wsi Racot, gmina Kościan. Gdy w 1947 r. z przyczyn politycznych odchodził stamtąd Aleksandrowicz, Janina odeszła wraz z nim, zostając jego zastępcą w PGR-ze w Pucharowie, woj. legnickie. Stamtąd Aleksandrowicz został zmuszony do odejścia pod zarzutem niegospodarności. Kolejne miejsca pracy Janiny Jałbrzykowskiej to Szczecin (Centrala Mięsna, Centrala Jajczarsko-Drobiarska), Warszawa (Spółdzielnia Technoplan), wreszcie Słupsk (inspektor klasyfikacji gruntów). Zmarła w Krakowie w kwietniu 1971 r., pochowana została na cmentarzu Rakowickim.

Krótki związek Anny Jałbrzykowskiej z Biblioteką PAU okazał się jednak jej dobrym wspomnieniem. Świadczy o tym decyzja przekazania do zbiorów

⁶ *Inwentarz Rękopisów Biblioteki Jagiellońskiej* (dalej: *Inwentarz...*), Nr 6001–7000: cz. I Nr 6001–6500, oprac. A. Jałbrzykowska, J. Zathay, Kraków 1962, cz. II Nr 6501–7000, Kraków 1963, *Inwentarz...*, Nr 7001–7500: cz. I Nr 7001–7500, oprac. A. Jałbrzykowska, Kraków 1966, cz. II Nr 7501–7800, Kraków 1966, cz. III Nr 7801–8000, Kraków 1967, *Inwentarz...*, Nr 8001–9000: cz. I Nr 8001–8500, oprac. i przygot. do druku W. Bandura, A. Jałbrzykowska, Kraków 1971, cz. II Nr 8501–9000, oprac. A. Jałbrzykowska, Kraków 1972.

rękopiśmiennych Biblioteki przy Sławkowskiej czterech napisanych przez nią obszernych tekstów wspomnieniowych. Są to:

- 1) „Pod Krakowem w czasie okupacji niemieckiej 1939–1945. Wspomnienia Janiny i Anny Jałbrzykowskich, spisane dla brata Andrzeja Grabia-Jałbrzykowskiego, porucznika Wojsk Polskich na terenie Anglii, zamieszkałego w Buenos Aires; 26 VII – 2 VIII 1962”.

Rękopis sygn. 6653, sprzedany w marcu 1964 r. do zbiorów Biblioteki przez Annę Jałbrzykowską, z zastrzeżeniem, iż przez najbliższych 20 lat nie będzie publikowany.

- 2) „Gawędy o utraconym gnieździe”, aut. Anny Jałbrzykowskiej, Kraków, 27 VIII 1972 – 23 II 1973.

Rękopis sygn. 7955, zakup do zbiorów Biblioteki, nr akcesyjny 64/1973.

- 3) „Nasz stryj”, aut. Anny Jałbrzykowskiej, Kraków, kwiecień 1972.

Rękopis sygn. 7956, zakup do zbiorów Biblioteki, nr akcesyjny 63/1973.

- 4) „Jak to było po wojnie. Wspomnienia”, aut. Anny Jałbrzykowskiej, pisane od 29 XI do 5 XII 1971.

Przechowywane do 1984 r. przez dyrektora Zbigniewa Jabłońskiego w jego biurku, następnie przez dyrektorkę Krystynę Stachowską i Karolinę Grodziską. Wcielone do zasobu rękopiśmiennego w 2020 r.

Szczególna była w owym czasie sytuacja życiowa Anny Jałbrzykowskiej: jej starsza siostra Janina, z którą były mocno związane i która była współautorką pierwszego z omówionych tu rękopisów, zmarła w 1971 r. Młodszy brat, Andrzej, po wojnie pozostał na emigracji, przenosząc się z Wielkiej Brytanii do Argentyny. Mocno związany uczuciowo z krajem i rodzinną tradycją, dał temu wyraz w swoich genealogicznych publikacjach⁷. Zarówno kwerendy, wykonywane dla niego przez Annę w Bibliotece Jagiellońskiej, jak i wspomnienia sióstr były dlań cennym materiałem.

Po 1989 r. nie było już przeszkód politycznych czy obaw przed cenzurą i publikacje Andrzeja Grabia-Jałbrzykowskiego, stryjecznego bratanka arcybiskupa wileńskiego Romualda, mogły ukazać się bez przeszkód. Ciekawą biografią (żyjącego jeszcze wówczas) Andrzeja, działacza społecznego, publicysty „Głosu Polskiego”, członka Komitetu Redakcyjnego „Materiałów do Biografii, Genealogii i Heraldyki Polskiej” zainteresowali się polscy badacze – Janusz Gmitruk i Jerzy Mazurek. Dzięki nim, w ich opracowaniu, ukazały się w 2005 r. *Wspomnienia wileńskie (1939–1940)* Jałbrzykowskiego, a w 2006 r. jego *Gawędy o krajach i ludziach*⁸. Niestety, autor już tych polskich wydań nie doczekał: zmarł w Buenos Aires w maju 2005 r.

⁷ A. Jałbrzykowski, *Rodzina Jałbrzykowskich herbu Grabie...*; *idem*, *Ostrzeszewiczowie vel Ostrzeszowiczowie herbu Leliwa*, „Materiały do Biografii, Genealogii i Heraldyki Polskiej”, t. V, Buenos Aires–Paryż 1971.

⁸ A. Grabia-Jałbrzykowski, *Wspomnienia wileńskie (1939–1940)*, wstęp, opracowanie tekstu, przypisy J. Gmitruk, J. Mazurek, Warszawa 2005 oraz *idem*, *Gawędy o krajach i ludziach*, wstęp, opracowanie tekstu, przypisy J. Gmitruk, J. Mazurek, Warszawa 2006.

W obu tych książkach wykorzystane zostały trzy obszerne fragmenty wspomnień Anny Jałbrzykowskiej. We *Wspomnieniach wileńskich* jest to część jej „Gawęd o utraconym gnieździe” dotycząca najbliższej rodziny oraz owo odrębne wspomnienie o arcybiskupie Romualdzie Jałbrzykowskim⁹. Z kolei w *Gawędach o krajach i ludziach* Andrzej Jałbrzykowski zamieścił rozdział *Ujazd* będący w całości autorstwa Anny Jałbrzykowskiej (co zresztą skrupulatnie zaznaczył) i pochodzący z jej „Gawęd” – najwyraźniej i siostra i brat lubili to określenie. Tekst Anny nosi inny tytuł: to rozdziały „Gniazdo” i „Służba i wieś”, przez Andrzeja skrócone i połączone¹⁰.

Ciesząc się z faktu, że osoba, dokonania i teksty Andrzeja Jałbrzykowskiego znalazły swoje miejsce w polskiej historiografii i pamiętnikarstwie, trzeba jednak oddać należytą sprawiedliwość raczej pomijanej Annie. Brutalnie oderwana od rodzinnych korzeni i ukochanego Ujazdu, gdzie była już trzecim rodzinnym pokoleniem, patrzyła na jego konfiskatę, dewastację i zniszczenie pieczołowicie tworzonych przez jej rodziców i siostrę zasad nowoczesnej kultury agrarnej i przyjaznych związków z miejscową ludnością (jeszcze wręcz patriarchalnych). Było jej trudniej, niż młodszemu o 13 lat bratu. Andrzej nie uczestniczył ani w procesach i problemach po śmierci ich ojca, ani też nie mieszkał w Ujeździe podczas okupacji niemieckiej i nie był świadkiem konfiskaty i rozgrabienia majątku w 1945 r., niestety przy udziale (a w każdym razie – zupełnej bierności) mieszkańców wsi. Jego decyzja o emigracji i wybór zupełnie nowego (choć też trudnego) życia wykluczył towarzyszącą obu siostrą tęsknotę za nieodległą wsią i rozpacz na widok zaprzepaszczonej gospodarki rolnej tamże. Uczucia te stały się udziałem Anny i Janiny, które dały im wyraz najpierw we wspólnie przygotowanych „Wspomnieniach”, następnie w epilogu autorstwa samej Anny. Oba te teksty ukażą się w najbliższym czasie w opracowaniu niżej podpisanych, jako osobna książka z bogatym materiałem ilustracyjnym, gdyż wszystkie znajdujące się w zbiorach Biblioteki rękopisy zawierają liczne fotografie (przeważnie autorstwa Janiny Jałbrzykowskiej), ukazujące nieistniejące już krajobrazy Ujazdu.

Obecnie należy oddać głos samej Annie. Jej wspomnienia, choć niewolne od błędów, mają jednak szczególny nastrój. Przedstawiany tu fragment pochodzi z „Gawęd o utraconym gnieździe” i właśnie nostalgia jest jego nutą przewodnią. „Gawędy” składają się z 10 nienumerowanych rozdziałów: „Gniazdo”, „Rodzina I”, „Rodzina II”, „Mań”, „Służba i wieś”, „I wojna”, „Boży Rok”,

⁹ A. Grabia-Jałbrzykowski, *Wspomnienia...*, Aneks nr 1, Anna Jałbrzykowska, *Rodzina Jałbrzykowskich*, s. 141–154 oraz Aneks nr 2, *Wspomnienie o Stryju*, s. 155–178. Zostały wydane na podstawie kopii maszynopiśmiennych będących własnością Jerzego Mazurka i pochodzących zapewne od Andrzeja Jałbrzykowskiego, tekst w pewnym stopniu różni się od posiadanych przez Bibliotekę autografów Anny. Ustalona przez J. Mazurka data 1988 jako czas spisania wspomnień o stryju jest błędna, rękopis nosi bowiem datę: kwiecień 1972. Tekst Anny ma jednak pewne błędy, skorygowane przez Andrzeja Jałbrzykowskiego w liście do J. Mazurka, *ibidem*, s. 179–183.

¹⁰ A. Grabia-Jałbrzykowski, *Gawędy o krajach i ludziach*, Warszawa 2006, s. 37–47 (rozdział: *Ujazd*).

„Sąsiedztwo” (1. Bolechowice, 2. Tomaszowice, 3. Karniowice, 4. Modlnica), „Bolek”, „Koniczynka ciotek”. Jak wspomniano wyżej, rozdziały „Gniazdo”, „Rodzina I” i „Służba i wieś” zostały opublikowane przez Andrzeja Jałbrzykowskiego. Trzeba podkreślić, że sąsiedzkie opowieści stanowią ciekawe nie-raz uzupełnienie do historii wielu podkrakowskich rodzin ziemiańskich i kra-kowskiej inteligencji, niekiedy krytyczne, jak wobec Konopków, przed których wizytą młode pokolenie Jałbrzykowskich uciekało z dworu¹¹, niekiedy nostal-giczne i złośliwe, jak wspomnienie o prababce Krystynie, karmiącej ulubione koty i kaczki na porcelanowej zastawie (mocno w związku z tym wytłuczonej), a jako jedynego krawca uznającej Szłomkę z Raciborowic¹², o kanoniku Henry-ku Ostrzeszewiczu, który nakarmił kolegów na polowaniu pieczonym lisem¹³, o przynoszącym nieszczęście portrecie ciotki (autorstwa Żelechowskiego), który Anna i Janina spaliły w 1945 r., bojąc się jego złej sławy w tym złym czasie¹⁴. Niekiedy owe rodzinno-sąsiedzkie opowieści sięgają głęboko w przeszłość, jak np. wspomnienie obrusów z herbem królewskim i saskiej porcelany rodziny Oze-galskich w Bolechowicach, które trafiły do nich przez babkę, damę dworu saskie-go, bowiem „gdy likwidowano dwór królewski w Krakowie, dworzanie rozebrali urządzenia, serwisy i stołowiznę. Stąd to głównie pochodziły bolechowickie ser-wety, srebra i bielizna stołowa z wetkanymi w adamaszkowe obrusy i serwety herbami królewskimi”¹⁵.

To jednak urywki i opowieści, ciekawe dla najbliższych. Z omawianego obecnie rękopisu należy zaś opublikować rozdział „Boży Rok”, stanowiący piękn-y obraz codziennego i świątecznego życia oraz zapomnianego już obyczaju w podkrakowskim dworze. Tytuł ten jest wyraźnym nawiązaniem do serii obra-zów Piotra Stachewicza „Boży Rok”. Jest on, oczywiście, pisany sercem i wy-idealizowany, ale z tego zdawała sobie sprawę sama autorka, tak rozpoczynając swoje „Gawędy”. Jest rok 1972, Anna Jałbrzykowska ma lat 64...

Upalny dzień wczesnego lata. Leżę na miedzy pachnącej macierzanką, wdycham jej zapach. Nade mną, w rozedrganym zarem powietrzu, trzepocząc skrzydełkami śpiewa skowronek. Tak – jak ongiś. Kiedy to było? Jak to było? Rozleniwiony gorącym mózgiem powoli wyławia z pa-mięci obrazy – jak czarowne bajki. Czy to możliwe, że są prawdziwe? Czas rozsunął zasłonę mgły między przeszłością, a mym teraźniejszym życiem. Tamto co minęło, już takie odległe, zdaje się nierealne, wręcz niemożliwe. Zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe. A jednak – takie było. A więc – niech ta prawdziwa „stara baśń” skryształizuje się choć częściowo w mych wspomnieniach¹⁶.

¹¹ *Ibidem*, s. 117.

¹² *Ibidem*, s. 22.

¹³ *Ibidem*, s. 23.

¹⁴ *Ibidem*, s. 28–29.

¹⁵ *Ibidem*, s. 105.

¹⁶ *Ibidem*, s. 2.

NOTA EDYTORSKA

W niniejszej edycji starano się zachować oryginalny układ tekstu, poza umieszczeniem w nim dwóch wstawek z innych części rękopisu, ze względu na cenne uzupełnienia i dopasowanie tematyczne. Nie wprowadzono zmian w zakresie interpunkcji, aby zachować indywidualną ekspresję autorki. W tekście zastosowano zasady współczesnej ortografii, stąd kilka niewielkich modyfikacji, dotyczących głównie zastosowania wielkich i małych liter. Zmodernizowano również końcówki fleksyjne narzędnika i miejscownika liczby pojedynczej oraz narzędnika liczby mnogiej w formie niemęskoosobowej (kończówki -em zmieniono na -ym, np. święconem – święconym). Liczby zamieniono na formę słowną.

Anna Jałbrzykowska

BOŻY ROK

Adwent. Święty Marcin przyjechał na białym koniu, przyniósł ponowę i zważył marcinki w sadzie. Drzewa i krzewy stały bezlistne, tylko gdzieniegdzie czerwieniały jagody jarzębiny i berberysu, gdzieniegdzie błysnął niebieski owoc tarniny.

W polach czterokonne pługi jeszcze w miarę możliwości orały pod wiosenne siewy, odwalając wilgotne skiby tłustej ziemi, lub przyorywując gnój pod buraki.

W stodołach huczała młocarnia, a wokół kręciło się mnóstwo wróbli, bezczelnie pchających się między ludzi, by porwać trochę rozsypanego ziarna.

Drogi rozmiękłe od deszczu i śniegu i rozmokła ziemia utrudniały nasze gonienie po polach. Rozpoczął się sezon polowania na zające, więc nasz ogrodzony sad zaczął spełniać funkcję azylu dla szaraków. W jego obrębie były bezpieczne, pieskom nie wolno było ich tknąć, lub płoszyć. Pod oknami wychodzącymi na ogród kładło się ocieпки koniczyny i sypało owies. Nieraz rano widziałyśmy rozespiane szaraki, z wolna kicające w głąb ogrodu. Bestyjki tak były pewne bezpieczeństwa w sadzie, że gdy Ojciec z psami, a często i z dubeltówką wychodził w pole, zające – prawie pod nosami psów – uciekały przed nimi do ogrodu. Tych „domowników” u nas się nie strzelało.

A we dworze było ciepłutko. Palilo się głównie drzewem, którego było w bród, dzięki przecinkom lasu. Węgiel woziło się z Jaworzna wozami, co było całodzienną, męczącą wyprawą. Jedyne w zimie można było wysłać wszystkie wozy i konie. W innej porze roku nie było na to czasu.

Raz posłało się wozy po węgiel w lutym, saniami, bo śniegi były duże. W powrotnej drodze, na wysokości Filipowic, złapała je burza tak gwałtowna, że momentalnie rozmyła śnieg na drogach. Nie mogli się na płozach dobić do domu, więc jeden z fernali odprzęgnął konia i na nim przygnał do Ujazdu po ratunek.

Na ostatni, będący we dworze wóz, załadowano koła i inne potrzebne elementy wozów i cugowymi końmi pojechano na pomoc. Dobili się wtedy do domu dopiero koło czwartej rano.

W czasie wojny i o węgiel było trudno, bo i mało go pozostawało na potrzeby wsi wobec dostaw dla wojska, a i ludzi nie bardzo dało się wysyłać gdyż nigdy nie było wiadomem, co ich i konie może spotkać. Panoszyły się przecież nieustannie rekwizycje i rozboje. Zamiast po węgiel, jeździło się po drzewo do lasu, potrzebne dla nas i dla ordynariuszy.

Paliło się więc drzewem, i naszą pasją było dokładanie drew do pieców oraz wieszanie na rozpalonych drzewczkach skórek z jabłek, by ich wonią pachniało w domu.

Przez Bożym Narodzeniem długie zimowe wieczory spędzaliśmy głównie w jadalnym pokoju, oświetlonym dużą, wiszącą naftową lampą. W czasie I wojny o naftę nie było trudno. Nie tak, jak w czasie drugiej wojny, kiedy musiało się palić wyłącznie karbidówkami.

Stół rozciągało się na całą długość, na nim leżały całe stosy fasoli łuskanej przez nas, bo przy młocce cepami wiele ziaren niszczało. Przy tej pracy Matka uczyła nas nowych kołęd, lub przypominała już dawniej znane. Śpiewanie odchodziło na całego. A gdy zbliżały się święta, na stole zjawiały się kolorowe papiery, bibułki, koraliki i pod kierunkiem Matki robiłyśmy ozdoby, koszyczki i łańcuchy, złoczyłyśmy szyszki i orzechy na choinkę.

W tym samym czasie w kuchni czeladnej dziewczęta skubały pierze. Przychodziły i ze wsi grzecznościowo kobiety, czy dziewczęta. Śpiewać nie mogły, bo pierze fruwało, więc albo starsze kobiety opowiadały różne gadki, nieraz przekazywane z pokolenia na pokolenie, albo Matka brała jakąś łatwą a dobrą książkę i czytała im. Trwało to zwykle jakiś tydzień, po czym w podzięce za sąsiedzką przysługę urządzało się dla swoich i wiejskich pomocnic „wyskubek” czyli wieczorny poczęstunek z winem domowego wyrobu i słodkimi plackami. Przychodzili i fornale, czy ich synowie, nieraz przygrywając na harmonii. Ale tańców – ze względu na adwent – nie było.

Wreszcie przychodziły wymarzone przez nas Święta. Tydzień wcześniej biło się wieprze, robiło i wędziło wędliny. Dwa dni przed wilią były poświęcone na pieczenie chleba, strucli, makowników, przekładańców, serowców – przy czym i my asystowałyśmy, wykonując dostępne dla nas prace pomocnicze. Ojciec i p. Kramkowski¹⁷ jak tylko mogli usuwali nam się z drogi, twierdzili bowiem, że nie ma niebezpieczniejszych stworów, jak babiniec w czasie wypieków świątecznych ciast.

¹⁷ Michał Kramkowski, pochodzący z Grodzieńszczyzny rządcą u Zygmunta Jałbrzykowskiego w Ujeździe, następnie u Stanisława, mieszkaniec dworu, ojciec Heleny i Henryka (1893–1972), architekta.

W wilię rano obaj nasi panowie z p. Michałem Ożegalskim¹⁸ szli na polowanie, wracając do domu dopiero po południu. Zazwyczaj zachodzili na śniadanie (w wilię nie było normalnego obiadu) do Bolechowic, gdyż pan Michał nie bardzo się godził z obowiązującym tego dnia surowym postem. A Lunia Ożegalska¹⁹ robiła pewne ustępstwa. Zawsze polowanie kończyło się na tym, że nasi panowie wracali w doskonałych humorach.

A w domu – w kuchni było szaleństwo z przyrządzaniem ryb i innych potraw na wilię. W salonie stawiało się przywieziona z lasu, pod sufit wysoką choinkę, którą już my same ubierałyśmy, tylko przy wysokich gałęziach pomagała nam bona. Wieszaliśmy złożone i srebrzone szyszki i orzechy, koszyczki z korali-ków nizanych na drucik, wymyślnie plecione, lub klejone z kolorowego papieru, wypełnione bakaliami, pierniki, ciastka, karmelki robione w domu, zawijane w kolorowy papier, jabłka oraz różne ozdoby i łańcuchy, również domowej produkcji. Na koniec rozmieszczało się na drzewku kolorowe świeczki w maleńkich lichtarzykach. Na szczycie drzewka umocowywało się aniołka z dzwoneczkiem w ręce, który zdobił drzewko jeszcze w domu Matki, w czasie jej dzieciństwa.

Po skończeniu tej pracy – pomagałyśmy w strojeniu jadalni i nakrywaniu stołu. W czterech kątach pokoju stawiało się snopy czterech zbóż, na wiszącej nad stołem lampie wieszaliśmy „światy” z opłatka, klejone przez Matkę. Samą lampę stroiliśmy świerczyną i jemiołą, a na konsoli i stolikach stawiałyśmy bukiety z takich samych gałęzi.

Stół rozciągało się na całą długość, na nim kładło się cieniutką warstewkę siana, a na niej długi, atlasowy obrus. Wyjmowało się starą piękną porcelaną, kryształ, srebra i stawiało się na stole hodowane w domu hiacynty, lub tulipany.

Roboty te musiały być skończone przed przyjazdem naszej rodziny i przyjaciół z Krakowa, po których posyłało się konie i futra. Przyjeżdżali gromadnie, wesoło, gwarnie, wnosili do domu zamróz zimowego wieczoru. I zaraz nam i naszej ciotecznej siostrze Krysi Schneidrównie²⁰ kazano się wynosić do dzieciennego pokoju, do czego stosowałyśmy się chętnie, bo wiedziałyśmy, co z tego wyniknie.

W salonie zaczynało się misterium podkładania prezentów pod drzewko. Sznur domowych i gości sunął tam pełen tajemniczości, z gorliwie zasłanianymi przed konkurencją pakunkami i paczuszkami.

Pod drzewkiem, oprócz tej rodzinno-przyjacielskiej „daniny” leżały też prezenty dla osobistej i czeladnej służby. Ordynariusze bowiem dostawali przed wilią, każdy z nich struclę, 1 kg mięsa, 1 kg kiełbasy, nadto zawsze jakiś drobiazg do ubrania, jak rękawice, chustki na głowę, skarpety czy pończochy. Gratyfikacje pieniężną dostawali na Nowy Rok.

¹⁸ Michał Ożegalski (zm. 1937), ziemianin, właściciel Bolechowic.

¹⁹ Lunia, właśc. Helena Ożegalska z d. Bujak (1891–1970), żona Michała.

²⁰ Krystyna Schneidrówna, zam. Lenartowiczowa, kuzynka Anny Jałbrzykowskiej, właścicielka apteki przy ul. Długiej 4.

Gdy pierwsza gwiazda zabłysła, Matka przynosiła sześć jednakowej wielkości i zwartości cebul, przecinała je na dwie równe połowy, wydrążała w nich jednakowej głębokości środki i nasypywała do każdej tę samą ilość soli. Po czym kładła je między okna na czas wigilijnej wieczery. Po niej wyjmowała kolejno połówki cebul i badała stopień zawilgocenia soli. Każda połówka cebuli wyznaczała prognozę pogody na kolejne miesiące następnego roku. To był nasz instytut meteorologiczny, co ciekawe, to to, że były duże różnice w nawilgoceniu soli i tą wróżbą na ogół można się było kierować w gospodarce. Raczej nie zawodziła.

Następowało łamanie się opłatkiem i składanie życzeń, co zaczynali Rodzice. Po czym zśliśmy wszyscy do kuchni i dzieliliśmy się opłatkiem ze zgromadzoną służbą. Ceremonia odbywała się na wesoło, bo życzenia były przez Ojca aktualizowane w zależności od sytuacji, zawsze z humorem.

Przy wili obowiązywało dwanaście potraw. Już ich nie wymienię, ale zawsze była zupa rybna, karp smażony z kapustą i po żydowsku z rodzynkami i migdałami, ryba w galarecie, kluski z makiem, kutia – ze względu na wuja Edwarda Schneidra²¹ pochodzącego ze Lwowa, której za nic nie chciałyśmy jeść, a przy której musiano nas pilnować, bo zawsze próbowałyśmy rzucać nią o sufit, jak nakazywała tradycja. Była to jedna z wielu wróżb wigilijnych, mówiąca jaki będzie nadchodzący rok, co zależało od ilości ziarn pszenicznych, z których robiło się kutię, przyklepionych do sufitu. Zawsze też był strudel z konfiturami z wiśni, kompot z suszonych owoców, kosz z bakaliami, placki oraz wino i herbata. Resztki jedzenia zanosilo się do stajni i rozsypywało do żłobów koni i bydła.

Po wieczery ktoś ze starszych wymykał się do salonu, zapalał świece, po czym uciekał drugimi drzwiami z pokoju.

Wchodiliśmy do salonu olśnione czarem pyszniącego się feerią barw i złota oświetlonego drzewka. Za nami wchodziła też służba. Ktoś siadał do fortepianu, grał jedną po drugiej kolędy, a wszyscy razem je śpiewaliśmy. Czasem to śpiewanie trwało dla nas denerwująco długo, gdyż chciałyśmy się jak najprędzej dostać do podchoinkowego sezamu. Przychodziła wreszcie ta wyczekiwana chwila, w której do nas należało wybieranie zawiniątek i rozdawanie ich, stosownie do napisanych na nich nazwisk obdarowywanych. I wreszcie zaglądałyśmy do tych najciekawszych, przeznaczonych dla nas.

Niedługo mogliśmy się cieszyć podarunkami. Stawało się już późno i kazano nam iść spać.

Starsi, jeżeli była dobra pogoda, jechali na pasterkę do Bolechowic. Nam wolno było w niej uczestniczyć dopiero jak podrosłyśmy. Uwielbiałam tę jazdę saniami przy rozgwieżdżonym niebie, po iskrzącym się i skrzypiącym pod płozami śniegu, przy dźwięku janczarów przypiętych do chomał końskich. A potem wejście do prawie ciemnego kościoła, rozbłyskującego o północy pełnią światła

²¹ Edward Schneider, mąż Anny Józefy Ostrzeszewiczówny, siostry Reginy Jałbrzykowskiej.

i wybuchającego nagle śpiewem „Wśród nocnej ciszy...”, który ogarniał całe wnętrze.

Pierwszy dzień Świąt był po emocjach wigilijnych raczej ospały. Drugi – zaczynał się obsypywaniem przez służbę nas wszystkich owsem – na szczęście w nowym roku. Przed kościołem to obsypywanie też szło na całego. Wieczorem w drugie święto było u nas zawsze przyjęcie dla księży z parafii i sąsiadów z okolicznych dworów. Zabawa trwała do późna w noc, nie brakło i tańców, w których bardzo wcześnie zaczęliśmy brać udział. A tańczyć umiałśmy od wczesnego dzieciństwa, bo na żadnym weselu, czy dożynkach nie dano nam siedzieć. Każdy parobek miał sobie za punkt honoru, by zatańczyć z panienką, choćby ona miała dopiero sześć lat.

Najradośniejsze święta Bożego Narodzenia pamiętam w 1921 r., w drugie bowiem Święto urządzono u nas w domu chrzest upragnionego przez nas wszystkich braciszka – Jędrka. Był duży zjazd rodziny i sąsiedztwa, a po południu proboszcz, ks. Jakub Rayski²², w salonie pod obrazem Matki Bożej Częstochowskiej ochrzcił małego, którego na karabeli skrzyżowanej z pochwą trzymał ks. Franciszek Świdorski²³, profesor gimnazjalny Ojca, w zastępstwie stryja Romualda, i siostra Jan-ka. A potem uroczysty wieczorny obiad, po nim długotrwałe tańce, przy czym głównie przygrywała nam tak zwana babcia, matka księdza Tadeusza Kruszyńskiego²⁴, Eugenia Stepkowa, 1 v. Kruszyńska, szereg lat u nas mieszkająca.

Szły mazury, oberki, kadryle, walce, poleczki, jedne za drugimi. Tylko od czasu do czasu *two step*, którego nauczył nas Ludwik Bogusz z Tomaszowic²⁵. Młodzieży nie brakowało, bo panien przecież nigdy nie brakuje, a młodzi ludzie i z sąsiedztwa zjeżdżali i z 6-go pułku artylerii lekkiej na Łobzowie zawsze było kilku oficerów. Ojciec nasz był niezastąpionym wodzirejem, głównie w mazurze.

W rok później, również w drugie święto Bożego Narodzenia przyjechali do nas państwo Włodzimierzowie Tetmajerowie²⁶ z Bronowic, z córką, synem i zięciem. To był też uroczy dzień. Pani Tetmajerowa w ślicznym krakowskim stroju, mimo że z chłopskiej chaty wyszła, była prawdziwą damą i bardzo miłą kobietą. On sam był wulkanem humoru i dowcipu, dzięki czemu śmiech nieprzerwanie towarzyszył kolacji. Naturalnie nie obyło się bez kurdesza, odśpiewanego przez

²² Jakub Rayski (zm. 1 IX 1961), ksiądz proboszcz w Bolechowicach.

²³ Franciszek Świdorski (1857–1928), ksiądz, katecheta gimnazjów krakowskich.

²⁴ Tadeusz Kruszyński (1884–1959), ksiądz, historyk sztuki, prof. UJ i ostatni dziekan Wydziału Teologicznego, później prof. Akademii Teologii Katolickiej. Był wikarym w Bolechowicach w latach 1907–1910.

²⁵ Właścicielami Tomaszowic byli Ludwik Bogusz (1854–1911) i jego żona Leontyna, tu mowa o ich synu.

²⁶ Włodzimierz Tetmajer (1861–1923), malarz, poeta, działacz polityczny, pierwowzór postaci Gospodarza w *Weselu* S. Wyspiańskiego; Anna Tetmajerowa z Mikołajczyków (1874–1954), córka gospodarza z Bronowic, poślubiona w 1890 r. przez Tetmajera, pierwowzór postaci Gospodyni w *Weselu*.

pana Włodzimierza. Wino lało się obficie i w pewnym momencie panowie zdecydowali, że muszą bezwzględnie wysłać telegram do Prezydenta Rzeczypospolitej.

Widzę jak dziś Ojca, pana Włodzimierza, pana Michała Ożegalskiego i wuja Schneidra, stojących na chwiejnych nogach w drzwiach z jadalni do gabinetu Ojca, układających tekst.

Ojciec kazał wołać dyżurującego w stajni fornala, by natychmiast jechał konno na pocztę do Zabierzowa nadawać telegram. A była to może już pierwsza w nocy. Dopiero Matce udało się jakoś wyperswadować naszym panom ten genialny pomysł.

Rano w Nowy Rok ustawiał się przed gankiem rząd fornali oraz skotak, karbowy, polowy, stróż itd. Wszyscy mieli w rękach bicze i razem strzelali z nich, w ten sposób prosząc Rodziców o wyjście, by móc im złożyć życzenia²⁷. Gdy Rodzice wychodzili na ganek, karbowy w imieniu całej służby składał życzenia dla całego naszego domu.

Takie samo palenie z batów i składanie życzeń było w dniu imienin Ojca. Od dziewcząt dworskich na imieniny i Ojciec i Matka dostawali „korony”, czyli wieńce plecione ze świerczyny, zdobione dla Ojca (8 V) świeżo rozwiniętymi gałązkami brzozy, dla Matki (8 IX) bukiecikami wrzosu, który Matka bardzo lubiła.

W Nowy Rok przyjeżdżał zawsze Żyd kupujący u nas cieleta. Za żadne skarby nie płacił Ojcu za ostatnie brane w kończącym się roku, jedynie ustalał cenę. Należne pieniądze przywoził w to święto i wypłacał Ojcu. Według żydowskiego przesądu, kto dostaje pieniążki w Nowy Rok, to się go cały rok trzymają. A on chciał nadal z Ojcem handlować, więc Ojciec musiał mieć zawsze towar i mamonę.

W Trzech Króli święcono w kościele kadzidło i kredę. Po powrocie do domu pisało się na drzwiach wejściowych święconą kredą litery K+M+B przedzielone krzyżykami, a kadzidłem okadzało się cały dom.

Koło Trzech Króli chłopcy wiejscy chodzili z szopką lub z gwiazdą, która z czasem wyeliminowała szopkę. A ta ostatnia nie skalana staniolem i elektrycznością, była śliczna w swym prymitywizmie. Chłopcy sami ją kleili i rzeźbili, występujące w szopce lalki ubierane przez dziewczęta. Z gwiazdą przychodzili pod dwór i tam odśpiewali kolędę. Przedstawienie odbywało się w naszej dużej sieni. Patrzyłyśmy na nie z zapartych tchem, mimo, że teksty powtarzające się z roku na rok, umiałyśmy na pamięć. Poprzebierane chłopaki odgrywały Heroda, anioła, diabła i Żyda. I te spektakle z czasem zanikły, tylko gwiazda utrzymała się do końca naszego pobytu w Ujeździe.

Naturalnie każde te występy kończyły się poczęstunkiem i darem pieniężnym na ekwipunek. Odchodzili odśpiewawszy: „Za kolędę dziękujemy...”.

Macocho zima panowała. Nie lubiłam ciemnych, krótkich mroźnych dni. Zawsze było mi mało słońca i uganiania się po pachnących ziemią polach, czy

²⁷ Scena przedstawiona m.in. na obrazie Piotra Stachewicza „Na szczęście! Na zdrowie! Na ten Nowy Rok!”.

kwiatami łąkach. Ale i ten okres miał dla mnie swe uroki. Do nich należał skrzący się w przebłyskach słońca śnieg, skrzypiący mróz pod nogami, szadź w porannej mgle na drzewach, czy okiść otulająca sad i las, ogromne czapy śniegu na budynkach i sople lodu zjadane w tajemnicy przed Rodzicami czy boną. A największą radością zimową była sanna przy granju janczarów.

Saniami jeździło się do Krakowa przez sosnowy las na Pasterniku. Śliczne drzewa wycięli zupełnie Austriacy w 1914/15 r., gdy Moskale zbliżali się do miasta, by artyleria miała dobre pole widzenia do obstrzału. Potem były to już jedynie wygony, na których wieś wypasała bydło. W lecie, gdy jechaliśmy do miasta, pastuszki rzucały nam do powozu wiązki kwiatów maślanki, kaczeńców i innych, za co Rodzice odwzajemniali się im drobnymi monetami na cukierki.

Ale najbardziej nas cieszyła wyprawa saniami do lasu. Nie dało się doń dostać przez dolinkę Kluczwody, skutkiem zasp. Jechało się więc okrężną drogą na Zelków i Wyżrał. Nie często nas ta radość spotykała. Konie musiały w święto odpocząć, bo i zimie pracowały cały czas, wywożąc gnój na przymy w polach, jeżdżąc z dostawami do miasta, czy na kolej, wożąc drzewo z lasu, czy węgiel z Jaworzna. W zimie czyściło się las z chwastów/ożyn, wilczego łyka, niepotrzebnych samosiejek, robiło się przecinki w młodniakach, usuwało starsze drzewa potrzebne na deski. A do wywózki konie były ciągle potrzebne.

Raz w niedzielę przyjechał do nas Jan Bisanz²⁸, restaurator z Krakowa. Matka robiła konserwy i kompoty i dostarczała mu je do Grand Hotelu, gdzie prowadził restaurację. W związku z tym przyjeżdżał do nas od czasu do czasu, a Ojciec i p. Kramkowski będąc w Krakowie, zawsze wstępowali doń na piwo, czy kawę z koniaczkem. W konsekwencji Bisanz uważał się za przyjaciela rodziny, deliberował z Rodzicami nad zagadnieniami gospodarczymi, politycznymi, a nawet wkroczał w sprawy domowe. Raz zrobił bez mała awanturę.

Dopiero niedawno nauczyłam się czytać. Pochłaniałam książki i dziecinne, których nam cała rodzina dostarczała oraz beletrystykę, głównie historyczną. Książek, zarówno jak i różnych albumów i wydawnictw artystycznych, było u nas sporo. Przechowywało się je w pięciu wielkich szafach, w których obydwie gospodarowałyśmy. Rodzice na to pozwalali, bo obie od małego miałyśmy kult dla książki.

Owej zimy dobrałam się do *Branek w jasyrze* Deotymy. Było to duże folio, za ciężkie na ręce dziecka. Rozkładałam więc książkę na dywanie i czytałam ją zachłannie leżąc na brzuchu, podparta łokciami. Cały świat przestawał dla mnie istnieć wobec pasjonujących scen na dworze wielkiego chana. I tak mnie raz zastał Bisanz. Zresztą nieraz mnie widział zaczytaną. Skoczył na Rodziców. Co państwo robią? Jak można na to pozwolić! Jej głowa pęknie od tego czytania! Jakoś – nie pękła.

²⁸ Jan Bisanz (1875–1945), właściciel restauracji i kawiarni w Grand Hotelu, w budynku przy Dunajewskiego 1 i letniej restauracji na Woli Justowskiej.

Otóż przyjechawszy wtedy tak długo nalegał, aż Ojciec zgodził się na jazdę do lasu, a że nas sporo było, pojechaliśmy dwojgiem sań. Bisanz twierdził, że najprzyjemniej jest wyrwać się z saniami w zaspę śniegu. Pojechaliśmy zwykłymi rozwalinami, wymoszczonymi słomą. Jej wiązki przykryte kocami służyły za siedzenia. Okryci futrami i baranicami rozkoszowaliśmy się jazdą. Bisanz nas obie bardzo lubił i chciał nas usadzić koło siebie, ale my – naturalnie – siadaliśmy koło woźnicy. Jazda była świetna, „popaska” w leśniczówce też. Wracaliśmy już o zmroku wcześniej kończącego się dnia. I wtedy obie zaczęłyśmy prosić Stefana²⁹, by nas wywalił, bo Bisanz to uwielbia. Stefan uległ naszym prośbom, wywalił sanie trzykrotnie, raz po raz. A my wiłyśmy się z radości, widząc, jak mały, krępy i gruby Bisanz toczył się jak kula po śniegu. Po tej jeździe już nigdy nie proponował takiej kawalerskiej sanny.

Biedak bardzo smutno skończył. Był Niemcem i za takiego się uważał. Więc w czasie II wojny zgłosił się do okupanta jako Niemiec. Utrzymał prowadzone trzy restauracje. Lecz los nie oszczędził mu konfliktów w rodzinie. Najstarszy jego syn Rudolf (o ile nie mylę imion) zgłosił się też jako Niemiec. Dwóch młodszych Jaś i Filip pozostało Polakami. Po wojnie starego Bisanza – jako Niemca – uwięziono (Rudolf zdaje się uciekł) i razem z innymi więźniami prowadzono go do sprzątanania i palenia w piecach w gmachu sądu. Bisanz był chory na serce i cukrzycę. Nie wytrzymał warunków, w jakich musiał żyć, i zmarł nagle³⁰. Kelnerzy krakowscy, którzy go bardzo szanowali jako dobrego i porządnego człowieka, złożyli się na jego pogrzeb. Był to smutny pogrzeb nędzarza, który już przed wojną dysponował dużą fortuną.

Zima wlokła się niemiłosiernie. Jeszcze po Bożym Narodzeniu urozmaicały ją polowania w całej okolicy i zebrania towarzyskie połączone z tańcami, ale z chwilą nadejścia Wielkiego Postu wszystko się kończyło i pozostawały jedynie niedzielne odwiedziny sąsiedzkie, nieodmiennie z grą w karty – w preferansa, bo *bridge* był jeszcze nieznany, a wista u nas nikt nie grywał.

W „preferka” musiałyśmy nauczyć się grać bardzo wcześnie, by w razie braku kompletu graczy ratować sytuację. Grało się u nas o „żydowską brodę”, czyli bez pieniędzy, tym niemniej partnerzy licytowali się z całym zapalem, długo pamiętając i dyskutując o popełnionych w grze błędach, naturalnie nie przez siebie. Najwięcej kontrowersji wzbudzała mizerka, czyli rozgrywka, w której nie wolno było brać lew. A kontry i rekontry sypały się jak z rękawa. Głównymi wielbicielami tej gry byli p. Kramkowski i babcia Stepkova. Jej syn z pierwszego małżeństwa, ks. Tadeusz Kruszyński był wikarym w naszej parafii w 1908 r., akurat jak

²⁹ Stefan Półtorak, stajenny w Antoninach u Potockich, następnie zmobilizowany do armii rosyjskiej, zbieg w trakcie I wojny, zatrudniony przez Stanisława Jałbrzykowskiego w Ujeździe jako stangret.

³⁰ Błędne informacje autorki: jego najstarszy syn Rudolf (zm. 1938) nie mógł zadeklarować się w czasie wojny jako Niemiec; sam Jan Bisanz, zmarły 19 marca 1945 r., pochowany został w grobowcu rodzinnym na cmentarzu Rakowickim. Pozostali synowie Jana również współpracowali z Niemcami w czasie wojny.

ja się urodziłam. Jego matka zamieszkała razem z nim w Bolechowicach i oboje bardzo zaprzyjaźnili się z moimi Rodzicami; przychodząc do nas przynajmniej raz w tygodniu. Do Bolechowic bowiem było zaledwie 2 i ½ km od nas. W 1914 r. wyjechali na wakacje do swej rodziny pod Biały Kamień na Podolu rosyjskim, tam ich zastała wojna. Władze rosyjskie nie pozwoliły babci mieszkać w Kijowie, gdzie wyjechała z Podola po wybuchu wojny i wyznaczyły jej jako miejsce pobytu Charków. Księża wzięto do obozu dla internowanych we Wiatce, skąd zabrano go z grupą innych internowanych do Moskwy, jako robotników. Mało opowiadał o tym okresie swego życia, wiem tylko, że wraz z innymi sprzątał Kreml i dzięki temu poznał doskonale jego barbarzyńsko-bizantyjski przepych.

Wrócili w 1918 r. Ksiądz poszedł na front jako kapelan pułkowy, babcia zamieszkała w Wieliczce, gdzie jej syn otrzymał przed wybuchem wojny wikariat, i straszliwie się nudziła. Więc Rodzice zapraszali ją ciągle do Ujazdu, a wizyty te się przeciągały. Bo spędzając z nami Wielkanoc – przyzostawała na imieniny Ojca w maju. A zjeżdżając na wrześniowe imieniny Matki, zostawała już i na Boże Narodzenie. Wreszcie Rodzice mieli dość tej wędrówki, posłali do Wieliczki fury po jej lary i penaty i babcia zamieszkała u nas na trzynaście lat.

Ochrzciliśmy ją babcią, służba to przejęła z dodatkiem „pani starsza” i wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że Kamrat, handlarz koni, zaczął ją też panią babcią tytułować. Rozzłościło ją to. Zastrzegła sobie, że żydowską babcią nigdy nie była i nie będzie.

Ona to wciągnęła nas w „hazard” karciany, surowo zakazując nam „zapuszczać żurawia”, czyli zaglądać w karty partnerów, choć sama, nie wiedząc jak rozgrywać partyjkę, często to stosowała, ku oburzeniu p. Kramkowskiego. Rozgrywki traktowane na wesoło, nastęrczały kibicom obserwację wielu zabawnych sytuacji.

W niedzielne wieczory Matka siadała do fortepianu i albo akompaniowała Ojcu do jego gry na skrzypcach, albo grała różne piosenki, śpiewane przez wszystkich obecnych. Znałyśmy ich mnóstwo, między innymi całe śpiewniki patriotyczne „zakazanych piosenek”, z których wiele do dziś pamiętam.

Zawsze z utęsknieniem czekałam wiosny i zapachu ziemi, oranej gdy tylko mrozy puściły. Jeszcze rankami widać było kałuże zaszklone cienką warstwą lodu, jeszcze w strumyku płynęła zmuląła brązowa woda, ale już ptaszki wracały, słońko przygrzewało, podbiały wysuwały złociste łebki kwiatów, czuć było wiosnę. Pojawiały się nagle kwiatuszki sierotek, z których pierwszym znalezionym należało przetrzeć powieki, by oczy nie bolały przez cały rok. Bażki wylażyły z brunatnych koszyczków osłonek, kwitła leszczyna i dereń.

Z baziak robiło się „palmy” na Palmową Niedzielę i po ich poświęceniu i przyniesieniu do domu, należało połknąć jedną kotkę, by nie chorować na gardło. A gdy zabrzmiał pierwszy grzmot wiosenny, trzeba było poturlać się na trawniku, co chroniło od bólu krzyży.

A w lesie na południowych stokach dolinki, w krzaczastych zaroślach, zaczynały kwitnąć śnieżyczki i wilcze łyko. Chodziłyśmy je zbierać, wracałyśmy ubłocone po pas w rozmokłej glinie, przepłatanej plamami jeszcze nie stopniałego śniegu, ale pełne triumfu, niosąc pełne ręce tych uroczych kwiatków.

Lęły się źrebięta. Każde takie urodziny były radosnym zdarzeniem. Gdy źrebie już mocno stało na nóżkach, następowały chrzciny, rytuał wymyślony przez fernali, przez nas akceptowany. Szło się z flaszką wódki do stajni, pokropiło się nią źrebie, nadając mu imię, przepijało się do fernali, którzy momentalnie „na zdrowie małego” butelczynę wysuszali. Wychów źrebaka był dodatkowym obciążeniem dla fernala, więc Ojciec za dobre odchowanie do roku zwierzaka dawał niezłe premie. Doprowadziło się do tego, że źrebięta były rozpaskudzone jak psy.

Raz Janka, wróciwszy z pola od żniwa, siadła w stodole, by dopilnować zwózki. Towarzyszący jej Szaulis, czarny doberman, zmęczony uganiem po polach, wyciągnął się obok niej i położył jej głowę na kolanie. Przyjechała nowa fura ze zbożem, a z nią przybiegł źrebak, kary Maciek. Był też zmęczony, jak się okazało. Położył się z drugiej strony Janki i na jej drugim kolanie oparł swój czarny łeb. Ten obrazek zobaczył nadchodzący niespodzianie p. Ożegalski i orzekł, że takiego cyrku jeszcze nie widział. A obydwa zwierzaki, nic sobie z gościa nie robiąc, leżały dalej.

Starsze źrebaki wyganiało się na okólnik. Stale pilnowały przy barierze, czy ktoś nie idzie od dworu, pewne, że dostaną jakieś smakołyki. Gdy odeszły dalej – na wołanie: dzieci! dzieci! Przybiegały natychmiast do bariery i wyciągały swe aksamitne pyszczki po cukier, czy chleb.

Nie było u nas złych, narowistych koni. Nikt do nich ze złością nie podchodził, nie zmuszano ich do wysiłków ponad ich możliwości, toteż wszystkie były bardzo łaskawe i przyjacielskie.

Tak samo było i w Bolechowicach. Padła rasowa klacz, pozostawiając dwutygodniowe źrebie. Lunia Ożegalska wychowała je, początkowo na flaszcze. Malec ją adoptował, łaził za nią krok w krok i po obejściu gospodarskim i na spacer. Z psami była doskonała komitywa. Wreszcie podrósł i uważał, że mu się krzywda dzieje, bo psy wchodzi do domu, a jemu nie wolno. Skorzystał raz z otwartych drzwi i wszedł do jadalni razem z psami. Akurat siedzieli goście w salonie, natomiast w jadalni na stole stał przygotowany suty podwieczorek. Czegoś takiego źrebak jeszcze nie widział. Chwycił zębami za obrus i ściągnął całą zastawę na ziemię, po czym nastąpiła psia uczta, w której i źrebak partycypował. Ale smutno się to dlań skończyło. Biedacek musiał iść do zamkniętego boks. Skończyły się hulanki z psami.

Gdy spojrzę w przeszłość³¹, w te najszcześniejsze czasy naszego dzieciństwa, bo spędzane w domu – widzę cały szereg twarzy, ludzi mniej lub więcej z tymi

³¹ Poniższe cztery akapity, do słów: „zasłuchane w jego opowiadania”, to wstawka z innej części rękopisu.

czasami związanych. A przede wszystkim Halcia, niańka mojej siostry, Pochodziła z Galicji wschodniej, gdzie ojciec jej był gajowym w jakichś lasach. Matka jej Morawianka, według opowiadań Halci musiała mieć w sobie coś z czarownicy. Znała masę zabobonów i „czarów”, była „znającą” czyli znachorką ze specjalnymi umiejętnościami nie dostępnymi dla normalnych ludzi. Część swej wiedzy tajemnej przekazała córce, ale ta rzadko z niej korzystała. Może się bała, że ją wyświecą ze wsi. Ale raz „wyzwolili” swe moce.

Jednego roku uległo się u nas ze czterdzieści indycząt. Miały już z miesiąc, gdy nagle, bez żadnego powodu zaczęły padać jedno za drugim. Żadnej zarazy nigdzie nie było, czas był suchy, sprzyjający chowowi piskląt. Co się stało? Nikt nie mógł zgadnąć. Kucharka czeladna opiekująca się drobiem zawołała Matkę na ratunek. I gdy obie stały bezsilnie nad padającymi indyczętami – wpadła Halka. Zobaczyła co się dzieje i tonem nie znoszącym sprzeciwu kazała Matce przynieść kalesony Ojca. Matka jak zahipnotyzowana poszła do dworu, migiem wyjęła je z szafy, i biegiem przyniosła do kurnika. Halka poleciła Matce trzymać koniec jednej nogawki, sama ujęła drugi i przez nią zaczęła przeciągać żyjące jeszcze, ale już słabe indyczęta. Każde z nich po tym zabiegu otrzępywało się i jak najzdrowsze szło jeść. W ten sposób Halka uratowała wszystkie pozostałe przy życiu indyczęta.

Umiała też leczyć. Gdy po raz trzeci nagle zachorowałam na zapalenie płuc z bardzo wysoką temperaturą, lekarza trzeba było przywozić z Krakowa, Halka przyniosła kwaśnej śmietany, nasmarowała nią grubo ręcznik i owinęła mi nim klatkę piersiową. Po dwóch godzinach ze śmietany zrobił się ser, a temperatura wróciła do normalnej i już więcej nie doszła do trzydziestu ośmiu.

Drugim niezapomnianym dla mnie typem był Adam, Słowak, wędrujący po całym Krakowskim drutować garnki. Było to przed I wojną. Adam był już bardzo stary, mimo to sprężyste chodzący. Głowę miał wspaniałą. Duże czarne oczy, orli nos, twarz sucha, rysy jak rzeźbione. Mimo wieku włosy miał czarne, aż wpadające w granat, przycięte nad czołem, a dokoła głowy długie, spadające na ramiona. Chodziły gadki o nim, że w młodości był zbójnikiem. Wyglądał na to. Znał też szereg legend i opowieści z obu stron Tatr. Tych już niestety nie pamiętam, choć wtedy obie z siostrą, ciągle siedziałyśmy w kuchni przy nim, zasłuchane w jego opowiadania.

Nadchodziła Wielkanoc. Przed Palmową Niedzielą było świniobicie i produkcja wędlin świątecznych. Robił to rzeźnik z sąsiedniej wsi pod nadzorem Matki, opędzającej się od nas, wschodzących tam, gdzie nikt nas nie siał. W obejściu gospodarczym robiło się porządki, bielilo dwór, zamiatało dziedzińce, w sadzie była przecinka gałęzi na drzewach i bielenie pni.

W sobotę przed Palmową Niedzielą przychodziły „pucheroki”, czyli dwóch małych chłopców wiejskich w kapeluszach ustrojonych słomą i wstęgami, z koszykiem w ręku. Mieli do nas długą wierszowaną przemowę, coś bez ładu i składu, czego nigdy nie mogłam zrozumieć, jako że pletli ją dość szybko i niewyraźnie.

Ale stosownie do zwyczaju dostawali pół kopy jaj, o co im zresztą chodziło, i szli dalej, zbierać jaja po wiejskich chałupach. Był to stary zwyczaj. Słyszałam gdzieś, że to była tradycja wędrownych żaków krakowskich.

W świątecznym tygodniu było szaleństwo z pieczeniem strucli, kołaczy i placków świątecznych w wielkim piecu chlebowym. Musiał być tego spory zasób, bo nie licząc dworu i gości świątecznych oraz służby osobistej, każdy ordynariusz i cała czeladź dostawali po święceniu po trzykilogramowym kołaczku z powidłem, po 2 kg kielbasy i po cztery gotowane jaja.

W ostatnie dwa dni robiło się mazurki w dworskiej kuchni, a my przygotowywałyśmy do nich konfitury, łuskałyśmy orzechy, łupiliśmy migdały (Matka musiała ich zawsze kupować choć pół kilo więcej, bo przecież musiałyśmy próbować – czy nie gorzkie!) Mazurków zawsze musiało być sporo, bo każdy z nas miał swój ulubiony. Były więc dwojaki czekoladowe, figowy, daktylowy, bakaliowy, pomarańczowy, piankowy, serowy (niezależnie od serowca), migdałowy, orzechowy, a obok nich orzechowce, przekładańce i torty. Ciocia Hania³² przywoziła nam zawsze łamańce, cieniusieńkie płatki ciasta posypywanego rodzynkami i migdałami, które fantastycznie robiła.

Ojciec uciekał do Bolechowic, gdzie we dworze był spokój, jako że kuchnia była w osobnym budynku.

Do naszych agend należało też cięcie bukszpanu, był u nas zawsze śliczny, do ubrania stołu ze święconym, jako też do dawania chłopom czy robotnikom, chcącym ustroić swe koszyczki ze święconym.

W Wielki Piątek i Wielką Sobotę aż do święcenia – dokładnie się suszyło. Po zjedzonym naprędce posiłku południowym sprzątało się jadalnię, stół rozciągnięty na całą długość nakrywało się paradnym obrusem, stroiło bukszpanem i kwiatami, które już o tej porze kwitły w ogrodzie czy w lesie i ustawiało się święcone.

W środku stołu był chleb, na nim baranek z cukru, obok sól, masło, oliwa, ocet. A dalej ogromne półmiski z wędliną ubraną korzeniami chrzanu, z wędzonymi półgęskami, salaterą z jajami ugotowanymi na twardo, w różnokolorowych farbách. Między tym flaszki wina i wódki. Resztę stołu zajmowały mazurki, placki i torty. Na czterech rogach stołu stały stołki z wysokimi oparciami, a na nich stosy kołaczy. Między nimi duży kosz bieliźniany pełny kielbas dla ludzi dworskich. Z boku stał talerzyk z jajkami przygotowanymi do dzielenia się oraz czarka z wodą święconą i kropidełko.

Chłopi z Postu i Gacek (przysiółków) schodzili się po trochu, niosąc koszyczki do święcenia, ustrojone czym się dało. Po księdza szły konie do Bolechowic i gdy wyjeżdżał na dziedziniec, ktoś ze służby dzwonił w dzwonek zawieszony na lipie przed dworem. To było hasłem dla wsi, z której ludzie już teraz hurmem się zbierali i wszyscy razem ustawiali się kręgiem między dębami. Wyjątkowo,

³² Ciocia Hania, czyli Anna Józefa Sznajdrowa (Schneidrowa) z d. Ostrzeszewicz (1885–1960), ciotka autorki, siostra jej matki Reginy Jałbrzykowskiej, żona Edwarda. Zmarła po wojnie w Warszawie.

gdy była niepogoda, czy błoto, przychodzili na ganek. Ale to była ostateczność, gdyż ganek na tę ilość ludzi był za mały.

Ksiądz, zwykle proboszcz, święcił najpierw na dziedzińcu, potem we dworze. Po ceremonii Matka brała talerzyk z jajkiem, dzieliła się z księdzem i składała życzenia. Po niej Ojciec, my i wszyscy nasi goście, których nigdy w święta nie brakowało. Od tego momentu, to znaczy po południu w Wielką Sobotę kończył się ścisły post.

Na Rezurekcję szła cała służba prócz dyżurnych w stajni i oborze, my jechaliśmy w Wielką Niedzielę na ranną mszę, lub sumę, z tym że Ojciec zostawał na śniadaniu u proboszcza, gdzie w ten dzień gromadzili się wszyscy ziemianie i nauczycielstwo z parafii. Z obiadem czekaliśmy na powrót Ojca i zaczynało się od dzielenia jajkiem z domownikami i służbą. Nie cierpialiśmy tej ceremonii, więc razem z Krysią chowałyśmy się w ogromnych szafach z ubraniami zimowymi w sieni. I dopiero naszą kryjówkę zdradził nasz brat, mały Jędrus, który koniecznie chciał wleźć z nami do szafy.

W pierwsze święto, by dla służby było jak najmniej roboty, obiad był na zimno. gorącymi były jedynie odgrzany, gotowany poprzedniego dnia barszcz, herbata i kawa. Tak samo było z kolacją.

Drugie święto – to był benefis młodzieży, jednak i starsi w nim partycypowali. Było to przecież „lany poniedziałek”, czyli śmigus. W ten dzień dziewczęta ze wsi łądowały w stawie, wrzucane tam przez chłopaków, lub doprowadzone pod studnię – zbierały na głowę wiadra wody. Rewanżowały się zresztą uczciwie i właściwie nikt z młodych ze wsi nie mógł iść do kościoła w ubraniu włożonym rano.

A we dworze?

Dom był w ciągu XIX w. kilkakrotnie rozbudowywany, więc podłogi w pokojach były na różnych poziomach. A że progi w drzwiach tamowały „odpływ wody”, więc się ją wiadrami zbierało. Tradycja była u nas świętością, nikt nie ośmielił się ograniczać śmigusowego szaleństwa. Wuj Edzio Schneider wychodził rano z pokoju w płaszczu deszczowym zapiętym po szyję, w kaloszach i pod parasolem. Ale i to mu nie pomagało. Musiał dostać swoją porcję.

Jednego roku w pierwsze święto był u nas prócz licznej rodziny, jak co roku, zjazd sąsiedztwa, proboszcz z wikarym z Bolechowic, trochę przyjaciół z Krakowa, a z księdzem Kruszyńskim przyjechało z szóstego p.a.l-u³³ trzech oficerów. Jędrzek miał wtedy może sześć lat. Ublagałyśmy Matkę, aby przetrzymała gości przy stole do dwunastej w nocy. Matka wiedziała co się święci, ale musiała ustąpić wobec naszych błagań. A my dwie i Krysia Schneidrówna zaopatrzyłyśmy się w ręczne ogrodowe sikawki, trzymając je pod stołem, zaś Jędrusieczek przygotował sobie dzbanek z wodą i garnuszek, jako że już wtedy, mimo młodego wieku, miał równie szatańskie pomysły jak my.

³³ Ksiądz Tadeusz Kruszyński był w latach 1919–1921 kapelanem Korpusu Kadetów w Krakowie w stopniu majora; stąd kontakty z oficerami 6 Pułku Artylerii Lekkiej.

Z uderzeniem dwunastej godziny sikawki poszły w ruch, a Jędrak łąząc pod stołem na czworakach, garnuszkiem wlewał oficerom wodę do cholew. Zrobił się niesamowity wrzask i całe towarzystwo „włączyło się w akcję”. Nikt tego nikomu nie miał za złe.

Innego roku Janka z Helą Kramkowską³⁴ przebiły dziurę w murze do gościnnego pokoju, wycelowując nad łóżko zajęte przez świątecznego gościa. Wycięły w dywaniku nad łóżkiem odpowiedni otwór, załączyły wąż gumowy od ściągania wina i po dwunastej w nocy oblały biedaka dokumentalnie. By jednak gościnności nie uchybić – była obok łóżka przygotowana druga pościel, do wymienienia zalanej wodą.

Wszystko popsuło przekleństwo cywilizacji. Ona najbardziej przyczyniła się do zniszczenia pięknych tradycji.

Dostałyśmy – my i Krysia – aparaty fotograficzne, taniutki, skrzynkowe Kodaki. Nasze „apanaze” nie wystarczały na kupno filmów w ilości odpowiadającej naszym wymaganiom. Po dłuższych rozterkach i walce ze sobą zgodziłyśmy się na wykup od śmigusa za odpowiednią ilość filmów, składanych nam przez zainteresowanych jako haracz. I w ten sposób świetne czasy ujezdźkiego lanego poniedziałku minęły bezpowrotnie. Czasem tylko dawały o sobie znać.

Raz w święta – ze względu na dużą ilość gości – spałyśmy wszystkie trzy razem z babcią Stepkową w jej pokoiku. Nad tapczanikiem, na którym spała Krysia, wisiało lustro. Przy nim babcia zawsze się czesała.

Babcia wstała w drugie święto pewna siebie, w bojowym nastroju. Czesząc się przed lustrem oświadczyła, że ona nie będzie się nam wykupywała, bo i tak nikt z nas nie ośmieli się jej oblać. I w tym momencie zobaczyłam zaspaną Krysię, wyciągającą spod kołdry piekielną sikawkę i puszczającą z niej strumień wody babci pod spódnicę. Jej ofiara skoczyła z pół metra w górę, nie przygotowana na tak dotkliwą remonstrację. A trzeba wiedzieć, że była mała, za to ważyła blisko sto kilo.

Szła wiosna. Zaścielała bladym złotem opadającego kwiecica klonu drogi i ścieżynki, krasila stoki dolinki jasno i mocno żółtymi prymulkami, błękitem przyłaszczek, śnieżystą bielą pierwiosnków. Nęciła chmary pszczoł słodyczą bazi i wikliny. Rozkwitała fioletem mnóstwa pachnących fiołków, bujnie rosnących w dolince i w naszym sadzie. Najwięcej ich było w dolince w okolicy starego młyniska. Był tam bowiem, niedaleko od naszych pól, młyn drewniany, który spłonął w samym początku XX wieku, a Moskale nie pozwolili go odbudować, gdyż stał na samej granicy zaborów. Ale na jego miejscu rozsiały się łąn cudnych fiołków, które potem zawędrowały i na okoliczne zbocza.

Koło św. Stanisława było największe szaleństwo rozkwitu. Sady okrywały się pianą kwiecica, na trawnikach złościły się mleczce, błękitniały niezapominajki.

³⁴ Hela Kramkowska, córka Michała (Mania) Kramkowskiego, wraz z ojcem i bratem Henrykiem mieszkała we dworze w Ujeździe.

Na gazonach jaskrawy przepych tulipanów, narcyzów, tacetów³⁵, żonkili, różnobarwnych prymul, wczesnych piwonii, irysów. A wreszcie kwitnienie bzów, wypełniających cały dom swą słodką wonią. Już ukazywały się pierwsze kłosa żyta. Z nich p. Ożegalski zawsze przynosił Ojcu bukiet na imieniny.

A potem – na zimnych świętych (12–15 V) – rozkwiatały krzaki tarniny pełne ptasich gniazd, o tej porze jeszcze nie zajętych, i różnobarwne krategusy³⁶.

Szaleństwo wiosny przenosiło się na łąki, tworząc z nich istne barwne kobierce, i na dolinkę, pełną kwitnących ziół i traw, i na las pyszniący się jasną zielenią i na pola z rosnącymi w oczach oziminami. A w ogrodzie – róże, róże, róże.

Dokoła śpiew ptasząt zakładających gniazda, wieczorami „ciachtanie” słowików i rechot żab, w słońcu złocące się pszczoły i kotki z topól lecące na wietrze jak mgła.

Nie mogłam usiedzieć w domu. Nosilo mnie po polach, Najbardziej lubiłam gonić pod wiatr przedburzowy i patrzeć na przedziwne oświetlenie nieba, na przewalające się, szybko mknące chmury.

Teraz, żyjąc w mieście między murami, tak bardzo za tym tęsknię. To już nie wróci. Dolinka już bez mała cała zaorana, coraz więcej budynków, coraz mniej kwiecia. cały jej urok – zniszczony.

W Boże Ciało³⁷ dziewczęta niosły do święcenia w kościele pęk wianków, uwitych z różnych ziół. Obowiązkowo jeden musiał być z macierzanki i choć jeden z rozchodnika. Plotło się je też z rumianków, różyczek i innych kwiatów i wieszalo po poświęceniu nad drzwiami wejściowymi do domu, by strzegły chatę od nieszczęścia i klęsk. U nas też święciło się wianki i wieszałyśmy je po obu stronach obrazka Matki Bożej Częstochowskiej, malowanego na blasze ryngrafowej, wiszącego nad drzwiami wejściowymi do domu.

Jeszcze jeden piękny, stary zwyczaj był u nas, do końca kultywowany. W Boże Ciało składało się na głównym ołtarzu przepisane na wąskich paskach papieru początki czterech ewangelii. Paski te zwijało się w ruloniki i przewiązywało wstążeczką. Na ołtarzu leżały cały tydzień i w oktawę proboszcz je święcił. Dawniej wieszalo się je na promieniach monstrancji, niesionej na procesji Bożego Ciała, ale było ich tak dużo z całej parafii, że się kolce łamały. Toteż nie pozwolono ich już wieszać na monstrancji. Na procesji w Boże Ciało Ojciec i p. Ożegalski w polskich strojach prowadzili księdza pod baldachimem.

Po przyniesieniu do domu wkładało się ruloniki w szklane fiolki, lub flaszeczki i zakopywało się je, po zmówieniu modlitwy i pokropieniu ziemi święconą wodą, na czterech najodleglejszych krańcach pól, według czterech stron świata. Robiliśmy to każdego roku. Tylko raz, w czasie pierwszej wojny nie można było iść w pola i wtedy Matka zakopała ewangelie na czterech końcach ogrodu

³⁵ Tacety, wg słownika M. Arcta gatunek narcyza, wg niektórych źródeł – żonkila.

³⁶ Krategusy (łac. *crataegus*), staroświeckie określenie głogu.

³⁷ Kolejne trzy akapity, do słów: „pamiętam tylko jeden, w 1937 r.”, to wstawka z innej części rękopisu.

i obejścia gospodarczego. Strzegły nas one od klęsk gradu i innych. Powodzi nie miewaliśmy, bo rzeczka była mała, grad, zresztą naprawdę potworny, pamiętam tylko jeden, w 1937 r.

Wiosenne prace polowe szły normalnym trybem, aż do sianokosów. W tym momencie zaczynał się wyścig ze świętojańskimi deszczami. Ano – według wiejskiej gadki – Pan Bóg powiedział do świętego od deszczu: Idź gdzie proszą! Ale święty był przygłuchy i zrozumiał: Idź gdzie koszą! I stąd na sianokosy wiecznie leje. A już się Medard (8 VI) rozplakał, a Jan (24 VI) go nie utulił, to płakał aż do św. Urszuli. więc każdego św. Medarda oczekiwano z drzeniem serca.

Prócz małego, siedmiomorgowego kawałka w Ujeździe, łąki nasze były rozrzucone w kilku wsiach, największe były w Modlniczce i w Zabierzowie. Kupił je jeszcze dziadek i uważał się z tego tytułu zobowiązany wobec wsi. Widząc, że chłopci w Zabierzowie mają do kościołów w Bolechowicach, czy Modlnicy opętany kawał drogi, zbudował w Zabierzowie kaplicę, do której dopiero w okresie międzywojennym dobudowano kościół³⁸. Część łąk, po drugiej stronie Rudawy, trudnych do zbioru wskutek braku dojazdu, dziadek sprzedał pod fabrykę gwoździ Abelesowi³⁹. Był to mądry i bardzo kulturalny Żyd. Swego jedynego syna wykształcił na inżyniera i posłał na zagraniczne praktyki. Gdy syn wrócił do ojca po ukończeniu studiów, ten mu kazał pracować w fabryce, jak prostemu robotnikowi na każdym oddziale i dopiero potem, gdy młody świetnie znał całą produkcję, oddał mu gwoździarnię.

P. Kramkowski w czasie sianokosów codziennie jeździł na łąki doglądać pracy i często zabierał nas ze sobą, co było dla nas ogromną przyjemnością. Mogłyśmy się uganiać do woli po łąkach, taplać się w nie uregulowanej jeszcze Rudawie, rwać kwiaty, śledzić żerujące po łąkach bociany. W drodze powrotnej Mań wstępował do przydrożnej karczemki na piwo, które razem z Janką wypijał. Ja piwa nie znosiłam. Czasem pozwalał nam Mań wracać na furach z sianem do domu, wybierając wóz starszego, odpowiedzialnego fornala. Leżałyśmy wysoko na sianie, wdychając jego woń i obserwując wysoko latające ptaki. Nie było według nas lepszych możliwości ich obserwacji.

W wilię św. Jana, 23 czerwca wieś obchodziła sobótki. Wszyscy się na nie cieszyli i z niepokojem czekali, czy nie będzie lało. Ale normalnie była pogoda i ciepła wywieżdżona noc.

Już parę dni wcześniej chłopcy gromadzili stopy chrustu na pagórkach z obu stron doliny Rudawy. Zapalali je gdy zmierzch zapadł i w ten sposób robili rodzaj iluminacji doliny. Niezależnie od tego zakładano ogniska także koło wsi i przy nich wszyscy się gromadzili. Chłopcy skakali przez ogień, dokoła stojące

³⁸ Kaplicę w Zabierzowie wzniesiono w 1891 r., budowa kościoła pw. św. Franciszka z Asyżu trwała od 1912 do 1936 r.

³⁹ Albert Abeles, dyrektor gwoździarni założonej przez braci Kramslersów, następnie właściciel firmy. O jej historii zob.: E. Dąbrowa, *Z dziejów zabierzowskiej gwoździarni*, „Małopolska”, t. 13, 2011, s. 289–300.

dziewczęta śpiewały. Trwało to tak długo, dopóki starczyło chrustu. Nie wolno było dziewczętom ani palić, ani przynosić do spalenia starych mioteł. Według wierzeń wsi groziło to smutnymi konsekwencjami – ni mniej, ni więcej – nieślubnym dzieciątkiem. To, że Kaśka, czy Ludwika miała takowe, było wyłącznie wynikiem zapomnienia się – spalenia starej miotły. Było to pewnego rodzaju usprawiedliwieniem w oczach wsi, współczuto dziewczynie.

Tak jak palenie ognisk było raczej przywilejem chłopców, obrzędem dziewcząt było wicie wianków z kwiecica, przybijanie ich na deseczce, umieszczenie na jej środku zapalanej świeczki i puszczenie wianka na wodę, na staw czy na rzekę. Na stawie dłużej się trzymały i ślicznie wyglądało ze trzydzieści płynących wianków, z odbijającym się światłem w wodzie. Chłopcy wierząc, że długo świecący się wianek zmusi ich do żeniaczki, walili w nie kamieniami, by świeczki zgasły, a wianki zatonęły. Ale ta zabawa nieraz długo trwała, bo staw był szeroki i duży, a wianki niósł nurt, płynący środkiem stawu. Sobótki przeciągały się zwykle do północkska.

Co najmniej dwa razy do roku przyjeżdżali do nas kwaterze z krakowskich klasztorów. Naszymi stałymi „klientami” byli Kapucyni, Reformaci i Felicjan-ki, a także często przyjeżdżający Albertyni. Dostawali na przednówku to, czego im brakowało w gospodarstwie (mąkę, kaszę, ziemniaki itp.), w żniwa snopy zbóż, w jesieni ziemniaki i warzywa. Zboże w snopach dawało się im ze względu na ziarno oraz słomę, którą napychali sienniki. Nadto Kapucyni i Reformaci otrzymywali w czerwcu po dużym, drabiniastym wozie siana, jako że trzymali własne konie. „Snopowe” dostawał również, obok innych świadczeń, proboszcz z Bolechowic.

Kochałyśmy siostrę Paulinę felicjankę⁴⁰, najweselszą i najpogodniejszą kwaterkę jaką znałam. W jej klasztorze dobrze się orientowano, że nikt tyle nie uzbiera co ona, toteż siostra Paulina cały sezon od wiosny do jesieni nie zsiadała z wozu. Znała wszystkie dwory w Krakowskim, była chodzącą kroniką okolicy. Nam przywoziła zawsze wielkie pudło zrzynków opłatków, z wyrabianych przez zakonnice komunikantów. Wypatrywałyśmy jej przyjazdu, bo opłatki bardzo nam smakowały.

Ale gdy się Jędrzek urodził – siostra Paulina była dla nas stracona. Okropnie się malcem cieszyła i cały czas pobytu u nas przy nim kołędowała. Skończyły się pogawarki z nami. Zresztą byliśmy już duże, a ona specjalnie kochała dzieci.

U oo. Kapucynów w Krakowie brali ślub moi rodzice i odtąd nawiązał się z nimi serdeczny kontakt. Tym więcej, że ojciec Wacław Nowakowski⁴¹ zaprzyjaźnił się z naszym Ojcem i często do nas przyjeżdżał. Był to wielki patriota, o ile się nie mylę – powstaniec 1863 roku. W każdym razie był jednym z czterech,

⁴⁰ Danych osobowych nie udało się ustalić.

⁴¹ Wacław Nowakowski, właśc. Edward Zygmunt Nowakowski, w zakonie Wacław (1829–1903), kapucyn, powstaniec styczniowy i sybirak, pisarz i historyk. Urodzona w 1908 r. autorka nie mogła go pamiętać, co najwyżej z opowiadania rodziców.

którzy wiedzieli gdzie schowano insygnia koronne. Pamiętam go, jak przez mgłę. Dowiedziawszy się o jego śmierci – Ojciec zapłakał.

Przy klasztorze w Krakowie Kapucyni mieli stajnię i tam zawsze zatrzymywały się nasze konie w razie przyjazdu do miasta. Było to dla nas bardzo cenne, gdyż i stangret i konie mieli dobre schronienie, nie musieli marznąć w zimie na ulicy, czy też moknąć w razie złej pogody.

Toteż kwestarze Kapucyni mieli u nas specjalne względy i odjeżdżali z Ujazdu, niezależnie od wyładowanych wozów, z wypełnionymi przepastnymi kieszeniami habitów butelkami miodu, orzechami, wędlinami czy też innymi smakołykami.

Pomimo zmienionej sytuacji po II wojnie Kapucyni nie zapomnieli o nas. Gdy miała przyjść na świat starsza córka mego brata – Oleńka, chciałam dać jej intencję na mszę. Był to czas rekolekcji wielkanocnych i w żadnym kościele nie przyjmowano już na ten cel na termin, na którym mi zależało. A dowiedziałam się zbyt późno o fakcie mającym nastąpić, bym mogła to wcześniej załatwić. Poszłam do Kapucynów i powiedziałam o czyje wnuczę to chodzi. Od razu znalazło się miejsce na mszę.

Z rozpoczęciem się sezonu jagodowego zaczynało się szaleństwo w domu, trwające już prawie bez przerwy do jesieni. Smażenie konfitur, robienie kompotów na zimę, powideł w wielkim kotle na to przeznaczonym, wmurowanym w specjalne palenisko w budynku kuchni czeladnej, robienie win owocowych, które w szklanych gąsiorach przechodziły fermentację w nagrzanym słońcem werandzie, marynowanie i kiszenie grzybów następowało jedno po drugim. Win robiło się dużo, z jabłek, porzeczek, agrestu, głogu, borówek. Prócz tego nalewki z wiśni, czarnych porzeczek, tarniny oraz wielojagodową ratafię.

Najnieznośniejszym dla nas było podbieranie i następnie sycenie miodu w kilku rodzajach. Pszczoły latały jak wściekłe, kłuły kogo popadło; ja prawie zawsze od nich oberwałam i chodziłam spuchnięta, jako że potwornie reagowałam na jad pszczeli. Ale nie można było przecież wyrzucić pasieki bo wszyscy lubili miód w każdej jego postaci.

Wino było zawsze podawane do stołu w niedziele i naturalnie gdy byli goście. A robione według wypróbowanych przepisów dziadka i odstałe przez kilka lat w piwnicy, było naprawdę dobre. Oprócz potrzeb dworu – trzeba było sporo na żniwa i dożynki. Bowiem w czasie żniw, przynajmniej raz dziennie pracujący dostawali po garnuszku wina, zarówno ci co byli w polu, jak i ci w stodołach na warstwie przy zwózce. Nadto jeśli czas był przeokropny, trzeba było kraść formalnie zboże z pola przed deszczem, i pracowało się przy lampach do zmroku, ludzie dostawali również wino na wzmocnienie. Do nas należało dowożenie i rozdawanie go w polu, jako też zbiór wcześniej dojrzałych owoców w sadzie i zanoszenie ich ludziom na warstwie.

Każdą zasadniczą pracę, a więc siewy, żniwo, zwózkę, zaczynało się w dzień Matki Boskiej, czyli w sobotę. Jeżeli było już zbyt późno, by siewnik wyjechał

w pole, Ojciec brał po parę garści zboża, szedł na łąn, i sam zasiewał choć kawałek. Gdy miało się zaczynać żniwo, to choć parę garści zboża urzynało się w sobotę sierpem. Przed wjechaniem pierwszej fury zboża do stodoły Ojciec lub Matka brali miseczkę święconej wody i kropidło i święcili nią całe boisko w stodole, furę ze zbożem, konie i ludzi. Nie było żadnych prześmiejców. Każdy tę ceremonię traktował poważnie, jak samo jak spożycie pierwszej kromki chleba z pierwszego bochenka upieczonego z nowego zboża.

Ostatnia fura z ostatnimi snopami wjeżdżała umajona i ukwiecona, tak samo jak konie ciągnące ją. Na furze siedziały robotnice śpiewając przez siebie ułożone przyspiewki okolicznościowe, przewrzaskując jedna drugą. No i nie obyło się bez poczęstunku.

Ojciec oddychał głęboko, na ten rok był już spokój, nie zagrażały braki.

Wielkim świętem wsi była Matka Boska Zielna 15 VIII. Szereg dni wcześniej dziewczęta plotły wieniec dożynkowy. Robiono go u nas ponad metrowej wysokości, w kształcie kopicy, zwężającej się ku górze. Na szkielecie z przygiętej wikliny przywiązywano gęsto, jeden obok drugiego, bukieciki z czterech zbóż (żyto, pszenica, jęczmień i owies) i tę konstrukcję zdobiono żywymi kwiatami i wstęgami. Było ogromne współzawodnictwo między okolicznymi wsiami, który dwór dostanie piękniejszy, bogatszy wieniec. Wieniec osadzało się na dwóch drażkach i do kościoła wiozły go cztery dziewczęta w krakowskich strojach, jadące wózkami w asyście czterech družbów też po krakowsku ubranych, harujących konno.

Na drugim wózku, zwanym przez nas trzęsidłem, również ustrojonym,jechały dwie baby z obory ze snopkami ziół. Już dzień przed świętem szły do lasu zbierać ziele. Wiązały je w ogromne snopy umajone kwiatami.

Warto było w to święto zobaczyć sumę w Bolechowicach. Szeregiem stały naprawdę piękne wieńce, obok nich strojna dorodna młodzież. Drugim szeregiem stały baby z ziele. Był to wyjątkowy dzień, w którym zmieniał się obowiązujący porządek w kościele. Bo zawsze były wyznaczone miejsca dla dziewcząt, osobne dla chłopców, osobne dla kobiet, osobne dla mężczyzn. W tym dniu o ustawieniu w kościele decydowało święto żniwne.

Swojego czasu pracowali u nas na kontrakcie przy żniwie robotnicy z Podhala. Skąd byli – nie pamiętam. Ale pamiętam, że na dożynki dziewczęta przyszły w wieńcach ze zboża plecionych w rodzaj szpiczastych kapeluszy i rozdawały je Rodzicom, nam i obecnym gościom. Ojciec musiał do nich przepić wódką, a jej resztą z kieliszka prysnąć w oczy przodownicy. Inaczej – według ich wierzeń – rok by się nie darzył.

Dożynki urządzali Rodzice w niedzielę po Matce Boskiej. Przygotowywało się kielbasy, piekło się biały chleb, placki z serem, powidłem i kruszonką, przywoziło się parę beczek piwa, wino dawało się domowe, zamawiało się grajków. W kosze na bieliznę kładło się pokrajany chleb i kawałki kielbasy oraz duże porcje ciasta. Rozdawali to wszystko Rodzice, lub my, każdemu kto przyszedł,

doroślemu czy dziecku. Nad piwem i winem mieli pieczę Stefan – stangret i Głanowski – skotak⁴².

Z wieńcem przychodzili tylko swoi robotnicy i chłopi ze wsi. „Goście” z innych wsi przybywali dopiero wieczorem i wtedy atmosfera zaczynała się rozgrzewać, bo nigdy nie brakło parobczaków z Kobylan, z długimi nożami pochowanyymi w rękawach. Zawsze oni rozpoczynali awantury. A wyrzucić ich było trudno po zmroku, bo idealnie umieli się chować w krzakach.

Już wchodząc w bramę wjazdową drużny niosące wieniec i drużbowie zaczęli śpiewy, przy czym towarzyszyła im kapela chłopska, zamówiona na dożynki. Przyszedłszy przed ganek – obśpiewywali Rodziców, nas i wszystkich obecnych. Śpiewkom nigdy nie było brak soli attyckiej. Każdemu, prócz Rodziców i nas, coś się dostało. Każdemu przygadano. Potem dziewczęta z asystą i kapelą wchodziły na ganek, oddawały Rodzicom wieniec, Ojciec przepijał do nich winem, którym wszystkich się częstowało. Kapela zaczynała grać i Rodzice, my i nasi goście musieliśmy przetańczyć z asystą wieńca. Potem tany przenosiły się na dziedziniec i trwały od wczesnego popołudnia do ciemnej nocy.

Rzadko kiedy zabawa odbywała się spokojnie. Po przyjściu kobylaków i karniowiczian zaczynał się ruch i prawie zawsze bójka. Czasem i kilka osób było poranionych, krew się lała i wtedy wkraczał Ojciec. Kończył zabawę, fernalom kazał rozpuścić towarzystwo, zapowiadając, że za karę przez trzy lata nie będzie dożynek, czego święcie dotrzymywał, wypłacając pracownikom gratyfikacje pieniężne, jako ekwiwalent za nie urządzone dożynki.

Po trzech latach znowu urządzało się dożynki, a Ojciec marzył, by znowu była awantura i by przez trzy lata panował spokój.

Przed pierwszą wojną nie było trudno o robotników. Po rosyjskiej stronie granicy dwory już nie istniały, nadgraniczne majątki rozparcelowano. Właściciele ich nie chcieli siedzieć nad samą granicą, gdzie mieli ustawiczne kłopoty z przemytnikami. Ziemie były marne, piachy, wsie biedne. Chłopi by wyżyć, musieli dorabiać, więc młodzież szła chętnie do pracy na austriacką stronę, tam lepiej płacono. Zgłaszali się więc i do nas. Młodzież dorodna, choć wychowana w biedzie. Dziewczęta jak łanie, miały ogromne powodzenie u naszych chłopców i co raz któraś wychodziła za mąż, choć starsi się krzywili, że synowie żenią się z „grzybiarkami” (chłopi po naszej stronie nazywali pogardliwie sąsiadów zza granicy grzybiarzami). Dziewczęta pieniędzy nie miały na wesele, więc Rodzice im je wyprawiali. To Ujazdowi zrobiło ogromną reklamę i stale zgłaszały się tłum dziewczuch do pracy. Miały one izbę mieszkalną przy oborze, dosyć daleko od dworu, co powodowało wieczny kłopot. Ojciec często wstawał w nocy, brał harap i – jak mówił, szedł do obory dawać ślubu. Obrządek ten polegał na dolaniu parobczakom, których ojciec zastał w izbie. Ale takie dolanie harapem nierzadko doprowadzało do prawdziwego ślubu zakochanych młodych. Tylko w sąsiedztwie śmiano się, że Rodzice tracą majątek na wesela.

⁴² Skotak, skotopas (starop.) – pastuch, też: pasterz gminny. Danych osobowych Głanowskiego nie udało się ustalić.

Pamiętam Kaśkę Gromkównę z dolinki, naprawdę śliczną dziewczynę, która po „perswazjach” Ojca nawet roku nie dosłużyła i poszła za mąż. Była Rodzicom tak wdzięczna, że ile razy zobaczyła nas w dolince, zawsze wybiegała z chaty i prosiła, by do niej na poczęstunek wstąpić.

Po żniwach opustoszałe pola budziły smutek po dosycie lata. Jeszcze rwało się buraki i wozilo je do kopców, wycinało kapustę i kisiło się ją w wielkich dębowych beczkach na zimę, jeszcze było kopanie ziemniaków i wieczorne ogniska z naci, w których się je piekło, a dymy snujące się zewsząd napępniały zapachem całą okolicę.

W sadzie kończył się zbiór owoców, zesypywanych na razie w przyzmy i dopiero po odparowaniu ich chowanych w piwnicach. I wreszcie – obijanie orzechów włoskich, których było u nas blisko 70 ogromnych drzew. Zawsze asystowałyśmy przy tym, racząc się do woli ich owocami. Moim prawdziwym przysmakiem był świeży razowy chleb z masłem i obranymi młodymi orzechami.

Ojciec i p. Kramkowski z Karem u nogi i dubeltówkami chodzili w pola i polowali na kuropatwy. Było ich moc, bo mało kto w okolicy je strzelał. Nie zapomnę ich wspianego smaku, przyrządzonych po polsku, obłożonych plasterkami słoniny i duszonych w śmietanie. Nigdzie nie jadłam takich jak u nas w domu.

Drzewa traciły swą zieloność, syciły oko całą gamą żółtości, brązu i czerwieni. Była złota jesień, snuło się babie lato. Kwiatów było coraz mniej, więc robiłyśmy bukiety z berberysów, tarniny, biskupich czapek obsypanych barwnymi owocami, i rozstawiałyśmy je w dużych wazonach. Do lasu chodziło się na późne wrzosi i ostatnie rydze, z żalem myśląc o nadchodzącej zimie. A nasze gospodarskie serca radowało coraz więcej zoranych i zasianych łąnów, cieszyły wschodząca ruń ozimin i konie, szybko poprawiające się po letnich i jesiennych pracach, dzięki wypędzaniu ich na noc na ścierniankę.

Wieś po trochu zapadała w zimowy sen.

KAROLINA GRODZISKA, MARIA RADZISZEWSKA

“THE STORIES OF A LOST NEST – THE YEAR OF GOD”.
THE MEMORY BY ANNA JAŁBRZYKOWSKA FROM UJAZD

Keywords: Anna Jałbrzykowska, Ujazd, manor house of nobility, everyday life, customs

SUMMARY

The paper contains an excerpt of a manuscript by Anna Jałbrzykowska (1908–1990) titled: “The Stories of a Lost Nest – the Year of God”. The text was written in 1972 and soon afterwards it was bought to be added into the manuscript collection of our Library, in which the author used to work for a short time before the outbreak of War. It comprises of a description of pre-war economics, daily life and house practices present in the manor house in Ujazd, located 14 km from Kraków, owned by the Jałbrzykowscy

family since 1884 until 1945, when it was taken from them by the Polish communists. After this confiscation, the author, who studied humanities, was for many years working in the Jagiellonian Library, where she was accepted as an employee despite her then improper social background and a close family relationship between her and a prominent priest, archbishop of Vilnius Romuald Jałbrzykowski.

The value of the presented source is both its recollective nature and interesting persons who visited the Jałbrzykowscy's manor (priest professor Tadeusz Kruszyński, Tetmajerowie, Jan Bisanz) as well as the nostalgic, literary nature of the memories: the image of the world and lifestyle typical for the nobility living in a manor house which are gone, not so much due to natural economic development but because of the Polish communists rule.

КАРОЛИНА ГРОДЗИСКА, МАРИЯ РАДЗИШЕВСКА

„GAWĘDY O UTRACONYM GNIEZDZIE – BOŻY ROK”
(РАССКАЗЫ О ПОТЕРЯННОМ ГНЕЗДЕ – БОЖИЙ ГОД).
ФРАГМЕНТ РУКОПИСИ АННЫ ЯЛБЖИКОВСКОЙ

Ключевые слова: Анна Ялбжиковска, Уязд, шляхетская усадьба, повседневность, нравы

АННОТАЦИЯ

Представленный текст является изданием фрагмента рукописи Анны Ялбжиковской (1908–1990) под названием «Gawędy o utraconym gnieździe – Boży Rok» («Рассказы о потерянном гнезде – Божий Год»). Текст был написан в 1972 году и вскоре куплен в рукописное собрание нашей библиотеки, где автор работала короткое время перед началом войны. Это описание довоенного хозяйства, повседневной жизни и домашних обычаев шляхетской усадьбы Уязд, расположенной в 14 км от Кракова и принадлежавшей семье Ялбжиковских с 1884 по 1945 год, когда она была отнята у них коммунистическими властями. После конфискации автор, имевшая гуманитарное образование, долгие годы работала в Ягеллонской библиотеке, где её приняли на работу, несмотря на неподходящее в то время социальное происхождение и близкое родство с Ромуальдом Ялбжиковским, выдающимся священнослужителем, виленским архиепископом.

Ценность представленного здесь источника заключаются как в его характере (воспоминания), так и в интересных людях, проходящих через дом Ялбжиковских (ксендз профессор Тадеуш Крушиньский, Тетмайеры, Ян Бисанц), а также в ностальгическом, литературном характере воспоминаний: образ потерянного мира и прошлого образа жизни в шляхетской усадьбе, которому в Польше положили конец не столько естественное экономическое развитие, сколько коммунистические власти.